



Patrzę na karteluszek, który Ivy przyniosła mi wraz z herbatą. Nie wiem, co zamierza Sonia, ale muszę odwzajemnić zaufanie, jakim mnie obdarzyła. Jej pismo jest wyraźne i staranne jak pismo dziecka.

*Najdroższa Amalio!*

*Znalazłam osobę, która może pomóc nam w podróży. Proszę, zaufaj mi i przyjdź do domu nr 778 przy York Street o pierwszej po południu.*

*S.S.*

Podalam już adres Edmundowi, a sądząc po jego prychnięciu, nie udajemy się do dzielnicy, którą uważa za odpowiednią. Niemniej jednak nie pyta mnie o nic więcej. Chciałabym ucałować go za wierność i lojalność.

Powóz toczy się w stronę miasta, mocno podskakując i kolebiąc się na zatłoczonej drodze. Od pogrzebu ojca, czyli od dzie-

więciu dni, nie mieliśmy większego deszczu. Myślę, że tak właśnie powinno być – jakby Bóg słusznie wypłakał wszystkie swoje łzy po jego śmierci. Ten brak deszczu wywołuje burzliwe dyskusje pomiędzy służbą. Cmokają i kręcą głowami, spierając się o to, czy oznacza on szczególnie mroźną, czy też wyjątkowo łagodną zimę.

Znajome dzielnice miasta przemierzamy w okamgnieniu. Mijamy Wycliffe, księgarnię, znane gospody i restauracje, cukiernię, dom Soni. Po chwili Edmund skręca w cichy zaułek skryty na tyłach czystych, ruchliwych ulic.

W zaułku jest ciemno, bo ze wszystkich stron otaczają go kamienice czynszowe, w których mieszkają ci bardziej doświadczeni przez los. Przez okienko powozu widzę pranie suszące się na sznurkach rozciągniętych ponad zaśmieconą uliczką. Powóz coraz bardziej podskakuje, a ziemia jest chyba jeszcze bardziej spieczona, jakby nawet woda nie chciała się tu na dłużej zatrzymać. Zaczynam mieć nudności, ale wtedy Edmund zatrzymuje konie cichym „Prr!”.

Wyglądam przez okienko i za nic nie mogę domyślić się, dlaczego Sonia poprosiła mnie o spotkanie w takim miejscu. Edmund już stoi przy drzwiczkach i otwiera je na oścież, nim zdążę zastanowić się nad celowością swojego przyjazdu.

– Czy panienka jest pewna, że właśnie tu chce się zatrzymać?

Wysiadam z powozu z pragnieniem doprowadzenia swojej misji do końca. Taka wyprawa nie jest dla tchórzy.

– Tak, jestem całkowicie pewna, Edmundzie.

Edmund stoi, trzymając w ręku kapelusz. Czekamy na Sonię. W ulicze bawi się dwóch chłopców, kopiąc duży kamień. Hałasują, ale ich radosny śmiech jest o niebo lepszy niż cisza opustoszałej ulicy.

– Który to dom? – pytam Edmunda.

– Tamten – wskazuje mi wąskie drzwi kilka kroków od powozu.

Zaczynam się zastanawiać, czy przyjazd tu był błędem, ale w tym momencie zza rogu wypada Sonia, zdyszana i zarumieniona.

– Mój Boże! Przepraszam za spóźnienie! Tak trudno umknąć spod oka pani Millburn! Umawia mnie na tyle seansów, że ledwie mam czas odetchnąć!

– Nic nie szkodzi, Soniu, ale... właściwie po co tu jesteśmy?

Sonia na chwilę przystaje, przyciskając rękę do piersi i próbując złapać oddech.

– Pytałam tu i tam, oczywiście ostrożnie, i znalazłam kogoś, kto być może coś wie... – patrzy podejrzliwie na Edmunda – na temat spraw, które omawialiśmy.

Edmund nie wygląda na zadowolonego.

– Rozumiem – kiwam głową.

Sonia bierze mnie za rękę i prowadzi do ciemnego przedsionka.

– Myślałam i myślałam o tej przepowiedni, ale rozumiem ją nie lepiej niż wtedy, gdy po raz pierwszy pokazałaś mi książkę. Wpadłam na pomysł, że przydałaby się nam pomoc. Nie było łatwo znaleźć odpowiednią osobę. Ale jeśli ktokolwiek zdoła nam coś poradzić, to na pewno Madame Berrier.

Samo nazwisko brzmi tajemniczo, ale Sonia prowadzi mnie w stronę zupełnie zwyczajnych drzwi. Unosi rękę i puka, a chwilę później otwiera szykowna, modnie ubrana kobieta.

– Dzień dobry. Proszę, wejdźcie.

Kobieta najwyraźniej jest Francuzką, ale w jej akcencie jest jeszcze inna, egzotyczna nuta, której nie potrafię dokładnie określić. Wprowadza nas do ciasnego korytarza. Jej wzrok wędruje gdzieś ponad moją głowę i dopiero kiedy podążam za jej spojrzeniem, zdaję sobie sprawę z tego, że Edmund nie został przy powozie. Jej oczy obserwują go uważnie, z zainteresowaniem zatrzymując się na silnych rysach jego twarzy.

– Edmundzie, czy mógłbyś poczekać tutaj, gdy my porozmawiamy na osobności? – zwracam się do niego.

Edmund poważnie się nad tym zastanawia, pocierając szorstką, nieogoloną szczękę.

– Będziemy tutaj, w tym mieszkaniu.

Przytakuje prawie niedostrzegalnie, a potem składa swoją dużą postać na małej ławeczce przy ścianie.

– Proszę za mną – Madame Berrier prowadzi nas dalej wąskim korytarzem z drzwiami po obydwu stronach.

– Dziękujemy, Madame, że zgodziła się pani spotkać z nami w tak krótkim terminie. Wiem, że jest pani bardzo zajęta – głos Soni odbija się echem w mrocznym, ledwie oświetlonym korytarzu. Idąc, wyjaśnia mi: – Madame Berrier jest jedną z najbardziej rozchwytywanych spirytystek w Nowym Jorku. Niektórzy goście pokonują setki mil, by powróżyła im z ręki.

Uśmiecham się, jakbym od zawsze miała przyjaciółkę, która jest spirytystką, jakbym była przyzwyczajona do spotkań w zaułkach miasta, gdzie mieszkają osoby obdarzone ciemną, nieznaną mocą.

Głos Madame Berrier jest przytłumiony, ponieważ mówi, idąc przed nami.

– Serdecznie witam panienkę. Moja droga, ty sama masz wielki talent i siłę. Powinnyśmy sobie pomagać, prawda? Poza tym nieczęsto mam okazję porozmawiać o prorocztwie sióstr.

– *Prorocztwie sióstr?* – mamroczę do Soni, podczas gdy Madame Berrier wprowadza nas do eleganckiego apartamentu, który kontrastuje z nędznie utrzymanym korytarzem.

Sonia wzrusza ramionami, podążając za naszą przewodniczką do starannie urządzonego salonu.

– Usiądźcie – Madame Berrier wskazuje nam czerwoną, aksamitną sofę, a sama siada w rzeźbionym krześle naprzeciwko. Po między nami ustawiony jest mały, drewniany stolik; jego blat błyszczy jak dobrze wypolerowane jabłko. Na nim stoi srebrny dzbanek, delikatne porcelanowe filiżanki na spodeczkach i niewielki talerzyk z herbatnikami. – Może macie ochotę na kawę? Albo na herbatę, zgodnie z angielską tradycją?

– Poproszę o kawę – mój głos brzmi pewniej niż mogłabym się tego spodziewać, zważając na okoliczności. Kobieta odpowiada skinieniem głowy i sięga po dzbanek z jakby aprobującym uśmiechem.

– Czy panience też nalać? – pyta Sonię.

– Dziękuję, ale nie skorzystam. Czasem przeszkadza mi się skupić podczas seansów.

Madame Berrier przytakuje, stawiając dzbanek na srebrnej tacy.

– Tak, kawa i herbata wywoływały u mnie taki sam skutek, kiedy byłam młodsza i bardziej wrażliwa na bodźce zewnętrzne. Założę się, kochana, że te rzeczy będą przeszkadzać ci coraz mniej, im bardziej będziesz pewna swojej mocy.

Sonia kiwa głową i widzę, że waha się, jak powiedzieć to, co ma do powiedzenia. Madame Berrier wybawia ją z kłopotu.

– Sonia mówiła mi, panno Milthorpe, że znalazła się pani... w niezwyklej sytuacji.

Nie od razu odpowiadam; nie czuję się pewnie, mając zwierzyć się obcej osobie z rzeczy, które usilnie starałam się zachować w tajemnicy. W końcu jednak potwierdzam – jaki bowiem jest sens szukania odpowiedzi, jeżeli nie będę rozmawiać z osobami, które mogą ją znać?

– Mogę obejrzeć dłonie pani? – Madame Berrier wyciąga swoją tak zdecydowanie, że nie wydaje się, bym miała inny wybór. Podaje jej rękę ponad kawą i cukrem. Kobieta podwija rękaw mojej sukni i chłodnym spojrzeniem ocenia znamię, zanim pozwoli mi cofnąć dłonie. – Hmm... Interesujące. Bardzo interesujące. Oczywiście widywałam je wcześniej. W opowieściach związanych z prorocstwem i u tych nielicznych wybrańców, którzy odgrywają w nim jakąś rolę. Ale nigdy dokładnie takiego jak to. Jest niezwykle – przerywa – czego, naturalnie, należało się spodziewać.

Jej ostatnie słowa są dla mnie zaskoczeniem.

– Dlaczego... należało się tego spodziewać?

Madame Berrier z brzękiem odstawia filiżankę na spodek.

– Moja droga, ponieważ tak mówi prorocstwo! W prorocztwie jest taka obietnica!

Kręcę głowę i czuję się jeszcze mniej pojętna niż zwykle.

– Bardzo mi przykro, Madame, ale niestety nie rozumiem.

Spirytystka przekrzywia głowę, jakby chciała przekonać się, czy mój brak zrozumienia to sprytne oszustwo, czy prymitywna wersja głupoty. W końcu pochyla się ku mnie i przemawia niskim, zdecydowanym głosem.

– Dusze są bezradne bez Samaela. Od wieków gromadzą Armię, ale prorocstwo twierdzi, że nie mogą zrobić nic, by nastąpił Sądny Dzień Bogów, bez przywództwa Samaela, czyli Bestii. I tylko jedna osoba może go zawezwać. Jedna jedyna, która nosi niezwykle znamię swojej władzy – urywa, patrząc mi w oczy z szacunkiem, a może z odrobiną strachu. – Oczywiście tą osobą jesteś ty, moja droga. Ty jesteś Aniołem. Aniołem Chaosu.

Ta wiadomość dociera do mnie przez mgłę oszołomienia, jak pradawna pieśń, jak bicie bębnow, które czuję niby mrowienie w kościach i które potem rozlewa się po całym moim ciele. Nie dam rady mówić o tym rosnącym lęku. Tak trudno mi było pogodzić się z rolą Bramy. Jakie zadania według prorocstwa wyznacza mi ta nowa funkcja?

– Ale... ja sądziłam, że Lia jest Strażniczką! Jest czy nie jest? – głos Soni dochodzi jakby z tunelu i przypominam sobie, iż nie

miałam kiedy poinformować jej o swoim odkryciu, że jestem Bramą.

Oczy Madame Berrier są pociemniałe ze zdumienia.

– *Mais non!* Nikt inny nie ma takiego znamienia, nikt! Ono oznacza, że twoja przyjaciółka jest Bramą, ale nie zwykłą Bramą, tylko Aniołem Chaosu, jedyną Bramą, która ma moc zawezwać Samaela. Jedyną Bramą, której pozostawiono wybór, by zaprosić go lub unicestwić na zawsze.

– Jednak... Lia – Sonia zwraca się do mnie, prosząc o prawdę, której najchętniej nie wyjawiałabym – czy to prawda?

Wbijam wzrok w dłonie spoczywające na moich kolanach, jak gdyby to one kryły odpowiedź na pytanie Soni. Ale tylko ja mogę dać jej potwierdzenie, więc podnoszę oczy i przytakuję.

– Tak – wydobywam z siebie tylko szept. – Nie miałam kiedy ci powiedzieć. Ostatniej nocy dowiedziałam się, że jestem Bramą i aż do tej chwili nie wiedziałam, że jestem Aniołem Chaosu.

Madame Berrier jest przerażona i kiedy napotykam jej spojrzenie, widzę, że jej oczy zrobiły się prawie całkiem czarne, że utraciły swój kolor.

– *Nie wiedziałas*, jaką odgrywasz rolę? Czy twoja matka nie wyjaśniła ci treści przepowiedni i twoich zadań? Czyż ona sama nie wypełniała swojej roli?

Sonia odzywa się cicho tuż obok, jakby głośno myślała. Jej głos jest delikatny, pozbawiony emocji.

– Madame, jej matka zmarła, gdy Lia była małym dzieckiem. Ojciec również, i to niedawno.

Kobieta otwiera szeroko oczy, a w jej spojrzeniu kryje się współczucie.

– Ach, to wszystko tłumaczy, bo zgodnie z przepowiednią to przecież starsze i mądrzejsze siostry mają objaśniać ją swoim córkom. Więc twój ojciec niedawno odszedł? – jej głos zmienia się w niski pomruk, a Madame Berrier kieruje to pytanie bardziej do siebie niż do mnie. – A więc to tak. Straciłaś swoją ochronę. Straciłaś ten woal.

Powracają do mnie słowa z książki, unosząc się w mojej pamięci lekko jak dym. *Chroniony jest tylko cienkim woalem.*

– Woal? – głos mi się załamuje.

Madame Berrier traci nareszcie cierpliwość i podnosi ramiona w górę, jakby chciała skapitulować.

– Zajmujesz się prorocstwem, nie mając żadnej wiedzy? Jak masz walczyć, jeżeli nie znasz wroga? Jeżeli nie rozumiesz, jaką broń masz do dyspozycji? – wzdycha głęboko. – Przepowiedziano, że Anioł będzie mieć obrońcę. Ziemskiego, ale zawsze obrońcę. Poza tym ma być bezbronny, zaś Samael znajdzie przez niego drogę, nim Anioł będzie na tyle dojrzały, by okiełznać swą własną siłę. Nim będzie na tyle dorosły, by dokonać wyboru. Lecz przecież każdy ma wybór, tak postanowiono u zarania czasu. Więc dzięki ochronie woalu osoba pełniąca rolę Bramy może dojrzeć na tyle, żeby dobrze wybrać. Tak długo, jak twój obrońca żyje, Bestia cię nie dopadnie. Kiedy zmarł twój ojciec, droga panienko?

– Około... dwóch tygodni temu.

– Czy okoliczności jego śmierci były... *niezwykłe*?

– Tak – szepczę.

Madame Berrier ociera serwetką kąciki ust.

– Jest mi ogromnie przykro. Proroctwo jest ciężarem nawet dla tych najlepiej wykształconych i najlepiej przygotowanych sióstr. Lecz dla kogoś tak zagubionego jak ty... dla kogoś z taką rolą do spełnienia... to musi być przytłaczające brzemie. Pomogę ci, ile tylko zdołam. Zacznijmy od twojego ojca. Od jego śmierci.

Na wspomnienie ojca ściska mnie w gardle.

– Co to ma wspólnego z proroctwem?

– Wszystko – stwierdza najprościej spirytystka. – Dusze od wieków czekają, żeby powrócić do naszego świata. Ty jesteś ich Aniołem, osobą obdarzoną taką mocą, by umożliwić im to lub skazać je na wieczne wygnanie. Nie możesz popełnić błędu, bo one będą się starały dotrzeć do ciebie za wszelką cenę.

Ta konkluzja jest tak absurdalna, że aż chce mi się śmiać. Wtedy przypominam sobie wyraz twarzy ojca po śmierci. Otwarte oczy. Przedziwny grymas, świadczący o takim przerażeniu, że aż nieprawdopodobnym. Myślę o tych rzeczach i wypełnia mnie wszechogarniający smutek, który następnie przeradza się w coś jak złość, jak zwątpienie, które nie oznacza jednak braku wiary.

Gdy spoglądam znowu na Madame Berrier, moje słowa nie układają się w pytanie, ale w stwierdzenie.

– Został zabity przez Dusze. Z mojego powodu.

Kobieta smutno kręci głową.

– Nie powinna się pani obwiniać o śmierć ojca, panno Milthorpe. Żaden obrońca nie jest zmuszony do brania na siebie tej

odpowiedzialności. Skoro przyjął tę rolę, musiał bardzo cię kochać. On także dokonywał wyborów – głos Madame Berrier ma łagodność głosu matki. – To i tak cud, że nie pokonały go wcześniej. Skoro opierał im się tak długo... musiał być bardzo silnym człowiekiem, absolutnie zdecydowanym, by cię chronić.

Staram się uporządkować myśli związane z faktami dotyczącymi śmierci ojca.

– Jednak on nie podróżował po Równinie. Nigdy mi o tym nie mówił, a powiedziałby, gdyby tak było.

Madame Berrier zastanawia się nad tym przez chwilę i krótko podsumowuje:

– Być może. Lecz Dusze są przebiegłe, moje dziecko, a Samael nieskończenie bardziej. Możliwe, że Dusze zwabiły go czymś, co miało dla twojego ojca wielkie znaczenie. Czymś, co mocno ukochał.

Na te słowa w moich myślach jawi się obraz Ciemnego Pokoju. Już wiem. Wiem, jak skusiły go do podróży.

– Moja matka...